

665 Jestem za Teatrem Ludowym, a ściślej za Fedorowiczem — jedy-
nym w Polsce dyrektorem franciszkaninem — to znaczy takim, który przejął idee św. Franciszka. No może nie wszystkie, ale większość. Co ten człowiek wyprawia z miłości do jednego mocno zagrożonego miejsca w Nowej Hucie — ludzki język nie wypowie! Kilka miesięcy temu przyznał się, że nie ma grosza na działalność teatru, a mimo to wystawia musical o św. Franciszku. Oczywiście było, że szykuje się pojedynek: minister Rostworowski (wtedy jeszcze) kontra święty. A pośrodku on — pasterz zagrożonej trzody — na przemian wymachuje mieczem i karmi wróble. Ale pewności co do tego, że miłośnik kwiatków i ja-kółek bez reszty posiadał duszę Jerzego Fedorowicza nabrałam dopiero wtedy, gdy wydarzyła się historia ze sknikami. Pamiętacie Państwo? Pewnej listopadowej niedzieli zaprosił wszystkich skników z Krakowa, Nowej Huty i okolic na próbę musicalu. Przyszło ich około setki. Nikogo nie pobili, pozwolili dyrektorowi odczytać wyjątki z franciszkańskiej reguły, potulnie obejrzał fragment spektaklu, w którym święty nakłania do gołębiej dobroci wilka i w zdyscyplinowanym oryndku opuścili salę. Wypalona fajka pokoju ponoć sprawiła, że od tego czasu szyby w Teatrze Ludowym są całe.

Był to dobry początek serii cudów, jakie ostatnio wydarzyły się w Hucie. Cud pierwszy: do programu została włożona wkładka z dziełoczynnym tekstem dla

Z teatru

Brat św. Franciszek

sponsorów. Ich lista zajmuje całą stronę. Przy okazji wertyguje wyjątkowo starannie wydany program. Są tam ważniejsze daty z życia świętych: Franciszka i Klary, dziesięciopunktowy dekalog św. Franciszka, fragmenty książki Waldemara Łysiaka „Wyspy Zaczarowane” z opisem nawrócenia pewnego bezczelnego Amerykanina, który zanim doznał oświecenia, cynicznie żuł gumę przy grobie świętego wreszcie komiks opowiadający o tym jak św. Franciszek sprowadził na drogę braterstwa trzech zbrojów.

Nie mam jednak czasu na szczegółowe przeglądanie programu albowiem na widowni robi się coraz ciekawiej. Teatr wypełnia się śmietanką intelektualną i duchową. Tu i ówdzie w rzędach czernieją habity i kornety. Rozpiętość wiekowa publiczności imponująca: od starszków po dzieci. Wszyscy ptaszę radości, bo wiedzą że żadne przykrości ich nie spotkają, nikt nikogo nie będzie ukatrupiał, ani nie namawiał do spekulowania na temat rezultatów akcji strajkowych w Polsce.

Ale zaczynamy zapasy ze świętym! Muszę się pospieszyć, bo nie zdążę wymienić wszystkich cudów, które wydarzyły się tego

wieczoru. A więc cud drugi: oni — to znaczy aktorzy — naprawdę śpiewają i ruszają się. Kilka miesięcy temu Fedorowicz opowiadał, że zrobił z Teatru Ludowego teatr muzyczny. Nie wierzyłam. Tymczasem jest nieźle. Zeby jeszcze aparatura nagłaśniająca nie pocharkiwała... Ale spuśćmy na to zasłonę miłosierdzia — zwłaszcza że podobno aparatura pożyczona...

Cud trzeci: publiczność, która nagradza brawami każdy numer (słowo numer nie pasuje do sztuki o świętym w dodatku tak miłym, ale trudno). Rozglądam się po sali. Na końcu błady, w czerni dyrektor Fedorowicz stoi oparty o drzwi wyjściowe, niczym Wypiański na „Weselu”. Za mną ktoś, kto wygląda na wysoko postawioną osobę duchowną składającą ręce do modlitwy? Nie. Do oklasków! Przede mną kilkuletni synek jednej z gwiazd Starego Teatru w towarzystwie sympatycznego wujka reżysera głośno powtarza przesłanie o miłości bliźniego. Zawstydziłam się własnej nietolerancji i postanowiłam wybaczyć pewnej artystce rękodzielnicze, która w lecie na rynku w Łęborku sprzedawała kilimki z głową Papieża Jana Pawła II — wyjątkowo szpetne. Ale każdy chwali Boga jak umie i tego właśnie u-

czy musical o św. Franciszku.

Muzyka w spektaklu robi wrażenie synkopy rąbanej, w której nie gustuję ale, patrz hasło: tolerancja — więc nie narzekam. Szczyt euforii w przedstawieniu został osiągnięty w trakcie wykonywania hitu końcowego. — „Bądź pochwalony dobry Panie”. Święty Franciszek Ra fał Dziwizw wraz z zespołem śpiewał i tańczył, a widownia za przykładem siostrzyczek zakonnych z trzęsącego rzędu wykłaskiwała rytm. Potem wszyscy wstali i był to przedostatni cud — klasyczna owacja na stojąco. I mniejsza o to czy była ona apoteozą sztuki, znajomych czy Kościoła, ważne, że wszyscy znowu się uśmiechali.

Te siedem cudów, które dokonały się owego wieczoru, sprawiło, że jak niepyszma siedzę teraz nad kartką papieru i kiętkuję we mnie mocne postanowienie rozpoczęcia ćwiczeń w miłości bliźniego. Mam takie upatrzone twarze, od których rozpocznę samodokonałenie. Od dziś? No, może od jutra. A gdyby mi trudno było wytrwać w postanowieniu, pójde jeszcze raz na przed-tawienie o św. Franciszku.

ELŻBIETA KONIECZNA

Teatr Ludowy: „Forza venite gente. Brat św. Franciszek” M. Castellaci, muzyka: M. Paulicelli, reż. Andrzej Jamróz, scen. Maciej Jaskowski, choreogr. Beata Wojciechowska, przekład: e. Ryszard Wróbel.